

Etiuda o Annie Marii ^{*†‡}

Z zagajnika przy torze kolejowym zaświszczały kule, przylgnąłem do ziemi, szeptałem, - „a psy, stąd mnie bierzecie, okrążyć nas, to wam się śni”. Strzeliłem do nich dwa, trzy razy, czwarty raz tylko zamek szczęknął, nie miałem ani jednego pocisku. Leżałem pod płotem i nadśluchiwałem, by nie dać się wziąć żywcem, chwyciłem do lewej ręki bagnet i czekałem zrządzenia losu. Nagle za plecami usłyszałem kaszel, raptownie odwróciłem głowę, zobaczyłem czołgającą się ku mnie dziewczynę, legła na smudze siana wyrzuconego z szopy.

- Masz - szepnęła, twarz jej przylgnęła do kępki siana. Zajrzałem w jej oczy bez słowa, wziąłem w dłoń parę naboii, szybko naładowałem karabin, uśmiechając się, zbawiony od czegoś złego.

- Kto ty jesteś? - zapytałem ciepło i zmarszczyłem brwi.

- Anna Maria - szepnęła i zmrużyła oczy.

- Dziwaczysz, Anna czy Maria? - zapytałem ostro.

- Anna Maria - powtórzyła z powagą.

- Szukasz guza czy rycerza? A wiesz, że nie godzi się niewieście przybierać imienia Marii, protestantki biorą sobie to imię, z braku szacunku do Matki Boskiej, ale to obraza i świętokradztwo - przysunąłem się do dziewczyny, chciałem pogłaskać jej jasne pukle włosów. Odwróciła głowę, po chwili palce zanurzyłem w puszystych jej lokach.

- Bóg zapłać - gładziłem jej włosy.

- Jestem katoliczką - wreszcie się uśmiechnęła.

- Ach, trafiłem kurkę, a ja jestem diabłem, ostrzegam panienkę - rzekłem surowym głosem. Obok nas przebieg! sierżant Kabsch, gorzelany, krzyząc:

- Nie marudzić, kochanie zostawcie na zaś potem.

Anna Maria wystraszona zerwała się z ziemi i pobiegła ku stacyjce Rakoniewic, tam strzały milkły, cichło niebo.

* Opublikowane na stronie gerardgornicki.com za zgodą Zarządu Głównego Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego 1918/1919.

† Opublikowane pierwotnie w Roczniku-Społeczno-Informacyjnym nr 3 „Wielkopolski Powstaniec 1997”.

‡ *Wersja cyfrowa przygotowana przez P. Górnickiego.*

Błądziłem po ulicach i myślałem, że być może w ciemności dostrzegę obcą. ale na tyle znajomą twarz, bo zobaczyłem ją już raz tego dnia. Wszedłem do kościoła, przed ołtarzem świeciła się czerwona lampka, oglądałem barwne obrazy świętych i odczytywałem napisy na sarkofagach, aż nagle zobaczyłem ją, siedzącą w ławie, modlącą się, wargi. policzki i brwi miała jak malowane i patrzyła na mnie bez lęku. Nie zawiodła mnie intuicja, bo dlaczego przyszedł mi do głowy akurat kościół.

Szepnąłem: - Szukasz miejsca na nocleg. Skąd jesteś?

Spojrzała na mój szary mundur.

- Znak Wisły. Wracam do domu z przymusowych robót.

- Anno Mario - wymieniłem jej imiona, spojrzałem jej w oczy, ona przyglądając mi się bacznie, rzekła z namysłem:

- Przestraszysz się, gdy ci zdradzę moje tajemnice i uciekniesz - uniosła dumnie głowę i milczała, jej spojrzenie było przenikliwe.

- Dlaczego miałbym się bać? Żołnierz nie boi się żadnych tajemnic.

- O! - odezwała się z uśmiechem. - Ale moje tajemnice są bajeczne, godne księżnej, a może i królowej - zarechotała.

- To tym bardziej się nie boję.

Ostre światło padające z czerwonej lampki odbijało się blaskiem w jej oczach, nikt nas nie widział, między kolumnami świątyni było mroczno. Wyszliśmy z kościoła w milczeniu, zaprowadziłem dziewczynę do mojej matki.

Zmęczony czułem pragnienie, głód i niesmak w ustach, pojąłem nagle, że zajęcie Rakoniewic, Nowego Tomyśla, Wolsztyna - znaczyło tyle co wyjście tylko jedną nogą ledwo za próg domu, dopiero za miastem poczułem ulgę, dostrzegłem na tle białego gościńca punkt ruchomy, po chwili rozpoznałem jeźdźca na koniu, to Anna Maria uniosła rękę, pozdrawiając maszerujących, z niedowierzaniem przyglądała się jeńcom. Zatrzymała gwałtownie konia pędzącego galopem, spojrzałem na nią uważnie, by przekonać się, że nie śnię.

Miała na sobie płaszcz wojskowy, na głowie czapkę z lisa.

- Kogo szukasz? - patrzyłem jej w twarz.

Koń wiercił się, nie mógł ustać w miejscu, Anna Maria trzymała się mocno w siodle.

- Jeszcze się pytasz - uderzyła konia obcasami w brzuch, trzymałem mocno lejce i strzemię, usadziłem zwierzę w miejscu.

- Zejdź mi z drogi - rzekła twardo i wyrwała mi strzemię z ręki.

- Nic pojmuję - znieruchomiałem. - Przecież...

- Ośle jeden - warknęła i stanęła w strzemionach.

Usiłowałem wskoczyć na kasztankę, ale zrzuciła mnie na ziemię.

- A kto zostawił mnie na łasce losu? Może księżę bawarski albo baron saksoński? - atakowała. Zerwałem się na równe nogi, chwyciłem lejce, wskoczyłem na konia, krzyknąłem:

- No, koniku, leć na złamanie karku, byle do naszych. W pędzie Anna Maria poczuła zimno na twarzy, przytuliła się do mnie, objąłem ją w pasie i nie dawałem koniowi wytchnienia, ona jaśniała uśmiechem, słoneczne blaski objęły jej twarz, pozwoliłem kasztance iść wolno. Spytałem spokojnie:

- Czyj to koń?

- Mój.

- Wykradłaś go ze stajni na plebanii - rzekłem tonem wyroku. - Tylko nie kłam.

Odwróciła głowę i spojrzała mi w oczy z uśmiechem. Obcasami uderzyłem konia po brzuchu, pognał jak szalony...

Śnieg dookoła Kopanicy wabił ciszą. Na wpół rozbity wiatrak stał z połamanymi skrzydłami, coś mnie tchnęło, ruszyłem w stronę pokraccznego widma, pchnąłem drzwi, przeskoczyłem wysoki próg i stanąłem nad słuchując. Z mrocznego kąta dochodziły jęki, dostrzegłem, jak Anna Maria zakładała rannemu opatrunek, miał przestrelone płuco, twarz pokaleczoną, krew sączyła się poprzez bandaż. Położyła palec na ustach i szepnęła - „cicho”, panowała nad sobą z wysiłkiem. Śmiertelnie blady młodzik westchnął i zgasł. Odwróciła głowę i wtuliła się w moje ramiona, głaskałem ją po wilgotnych włosach i słuchałem jej modlitwy. Po chwili rzekłem:

- Musiał uwijać się w bitwie, śmierć dosięga łatwo takiego zucha - nakryłem zmarłego wojskowym płaszczem - nie zostawimy go bez pogrzebu, to jest

Wojtek Jastrząb, przecież poznaję sąsiada. Chodźmy do miasta, trzeba poszukać trumny. Wyszliśmy w słoneczny krajobraz, wziąłem Annę Marię za rękę i prowadziłem ja w stronę mglistego światła na niebie, zaś w przeciwną stronę, na wschód - szli jeńcy, ciągnęły tabory wojskowe naładowane po brzegi karabinami, przykryte brezentem.

Porucznik Siuda jechał na koniu na końcu kolumny, widać wracał na kwaterę do Wolsztyna, ze spokojem i powoli...

Od strony Kramska, w oknach chobienickiego pałacu połyskiwały światła. Wiatr ucichł. Odprowadziłem kasztankę do stajni, poklepałem konia czule po szyi, do żłobu wrzuciłem siana, wziąłem karabin na ramię i ciężkim krokiem wszedłem do pałacu. W ciemnym holu zakaszlałem, dłonie przyłożyłem do ust i począłem wołać:

- Anna Maria! Anna Maria! - echo niosło imiona po wszystkich zakamarkach. Wciąż jeszcze przenikało mnie uczucie pustki, miałem jeszcze w oczach twarze tamtych ludzi, uradowane, potem zawiedzione, opuszczone, skamieniałe. Głos Anny Marii spadał z góry, biegła po schodach:

- Chryste Jezu, jesteś, tak długo nie wracałeś.

- Co się stało? - chwyciłem ją w ramiona, ściskałem, obracałem w kolon. - Uspokój się - prosiłem.

- Modliłam się za ciebie, nie wiedziałam, co się z tobą dzieje, bałam się. o słodka Panno, dziękuję ci, be mi ciebie wróciłaś, zachowaj mi ciebie, nie oddam cię nikomu - bardzo blada, spostrzegła, że mam zakrwawioną chustą związaną dłoń lewej ręki. Wtedy się opanowała.

- Zaraz zawołam lekarza, to znakomity chirurg - na odgłos kroków odwróciła głowę. - O, pan doktor Jasiński idzie.

- Tutaj obowiązuje cisza - rzekł lekarz z przyganą, był szczupły, średniego wzrostu, w okularach. Po chwili w pokoju czyścił jodyną ranę na zewnętrznej stronie dłoni i między palcami wskazującym i kciukiem. Marii powiedział, że jest piękniejsza od Kleopatry, jej to nie bawiło, widocznie słyszała ten jego komplement już parę razy. Uniósł rękę moją i przez chwilę przypatrywał się ranie. objaśniłem, że niemiecki snajper wziął mnie na oko, strzelił, a ja złapałem kulę w garść - fantazjowałem.

Bolały mnie nogi, rwało w lewej ręce owiniętej bandażem. Usłyszałem kroki za drzwiami i śmiech, Anna Maria weszła do pokoju w białym fartuchu i w

jasnym świetle słońca wydała mi się zmęczona i nic tak ładna, jak dnia poprzedniego.

- Dzień dobry. Smacznie się spało? - pochyliła się i pocałowała mnie w policzek, usta miała ciepłe.

- Dobrze się spało - odparłem. Pracz chwilę patrzyłem na rzeźby i obrazy na ścianach.

Myła mi namydlonym ręcznikiem i ciepłą wodą twarz, szyję, ręce i wtedy przyciągnąłem ja do siebie. Poprawiła jasne włosy, wyglądała już świeżo i pięknie, oczy jej patrzyły niespokojnie.

- Jesteś osłabiony, leż spokojnie - szepnęła.

- Zamknij drzwi i chodź do mnie.

- Jestem - wzruszyła ramionami.

- Na chwilę, chodź - prosiłem.

- Nie można - rzekła surowo.

- Chodź, inaczej nie uwierzę, że mnie kochasz - siadłem na łóżku.

- Jesteś dowcipny. Powiedz, chcesz jechać do domu?

- A pojedziesz ze mną?

Nic powiedziała nic, to mnie rozgniewało. - Dlaczego? Myślisz, że Jasiński nie zezwoli?

- Zezwoli, ale nic pojedę - rzekła cicho. Była najwyraźniej wewnątrz napięta.

- Cos się stało, przecież widzę, patrz mi w oczy i mów.

- Po tym co powiedziałeś już wiem, że tam za Obrą jest strasznie.

Przez chwilę milczałem. Siedziała na łóżku, patrzyłem na nią, odsunęła się ode mnie, jakbym był dotknięty jakąś zarazą.

- Spokojna głowa, mamy odwody w Wolsztynie, nasi oficerowie potrafią wyciąć figła, oni cos wykombinują. Ale widzisz, wszystko cośmy dotąd robili jest mała gra, to były małe sukcesy, łatwe, a na wielkie nas nie stać i za Obrą będzie ciężko, cholernie ciężko - powiedziałem głosem pojednawczym, wydało mi się, że proroczym. Ocknęła się z zamyślenia i oznajmia stanowczo:

- Nie chcę, żebyś szedł na front.

- Dobrze, ale proszę, zrób mi skarpety i rękawiczki - wyciągnąłem spod poduszki kłęby wełny i wcisnąłem jej w dłonie. - Masz się teraz czymś zająć!

Popatrzyła z niedowierzaniem:

- Jaka biała, bielusienka. Skąd to masz? - niemal krzyknęła.

- Skąd? Od wesołej kobietki, nic przejmuj się. wesoła to głupia, a co zdrowa, to goła - ucałowałem Annę w policzek...

Wróciłem do Anny Marii, do pałacu w Chobienicach, gdzie był lazaret pod okiem doktora Jasińskiego. Z jej spojrzenia bił uśmiech szczęścia, wszak wróciłem cały i zdrów, jej oczy niebieskie, ciepłe, żywe oczy, coś we mnie odkrywały, gdy na mnie patrzyła, wziąłem jej rękę w moje dłonie, wciąż patrząc mi w twarz zapytała:

- Co będziemy teraz robić, jak będziemy żyć dalej?

- Sama wiesz, dobrze - odparłem.

Uśmiechnęła się, a uśmiech ten był ciepły na jej śniadej twarzy. Żartobliwie powiedziała:

- Jesteś już sławny, wiem, że to jest prawda, wszystko jest tak, jak o tobie mówią żołnierze. - Na dnie jej oczu kryła się mgiełka lęku, do mego serca docierał jej smutek, powiedziałem śmiejąc się głośno:

- Urosły mi skrzydła jak sokołowi, gdy do ciebie leciałem na koniu, pamiętaj, że mamy tutaj swój kąt, swoje gniazdo, swoje szczęście.

Spuściła głowę i milczała, moje słowa musiały się jej wydać ironiczne, nieszczerze, jakby zdradzały moja gorycz. Wszak co dopiero wróciłem spod Miedzichowa...

Wokół Babimostu przycichł ruch i zgiełk, w ciągu dwóch godzin w moim plutonie padło trzech ludzi, leżeli w rowie wzdłuż drogi wybiegającej z miasta na północny zachód, przecinającej prostopadle tor kolejowy. Dworzec był nie tknięty przez pociski, równina przed nami zataczała wielkie, puste koło, na obwodzie miasta wieńce zagajników obramowane były rowami. Zostawiłem pluton i skoczyłem na dworzec, gdzie Anna Maria opatrywała rannych i odsyłała do Chobienic, przybiegła do drużyny Filipiaka najbardziej dotkniętej nieszczęściem, dostrzegłem ją na peronie, zmęczoną i bladą.

- Co się w mieście dzieje? - spytałem.

- Dobrze wam poszło, ale - poczęła wyliczać komu pocisk przetrącił grzbiet, kło dostał w brzuch odłamkiem, kto został ranny w głowę, kto w szyję. Wspomniała o Braunie Adamie, któremu wyrwało wnętrzności i krew uszła z niego w jednej chwili, Józefowi z Kobylnik złamało kręgosłup i zaraz umarł, a jego karabin wygięło i kolbę zmieniło w proszek. Sanitariuszowi Jasiowi z Woźnik spłaszczyło głowę.

- Temu dzieciakowi? - spytałem, zdreptały z zimna.

- Pięciu jest zabitych i dziesięciu rannych - dodała.

Poczułem jakby paraliż w całym ciele, a może byłem winny ich śmierci, nie ogarnąłem wzrokiem wszystkich.

Trzecie uderzenie na Babimost szło twardo z trzech stron, z Kramaska, z południa i z północnego zachodu, skąd jechały dwa pociągi pancerne, jeden za drugim, z armatami skierowanymi na dworzec kolejowy. Cisza świtu nabrzmiwała wieścią - „idą”. przywarliśmy do ziemi, powtarzałem półgłosem to słowo, nad słuchując chrzęstu, utkwivszy wzrok w krajobrazie. Nagle równina zaroiła się wokół miasta, wszędzie dookoła, na każdym skrawku ziemi, szeregi tyraliery niemieckiej rosły w moich oczach.

- Zaczyna się - rzekłem do moich żołnierzy.

Na twarzach bladych od bezsennej nocy spływały im krople szronu. Ktoś zakaszał. W spokój łąk i pól, ogrodów i uliczek, na których połyskiwała skorupa śnieżna, a mrok rozchodził się łagodnie, odsłaniając uroki miasta, młyn i tartak, barokowy kościół, otoczony wiazami - wdarły się słupy ognia, oślepiły nas wystrzały armatnie z pociągu pancernego, obrzuciły grudami lodu, wybuchły w seriach i w pojedynczych strzałach, cała nawałnica pruła naprzód. Wynurzyłem głowę spoza przewróconego wagonu, zobaczyłem gęby Niemców wychylających się zza pancernika, pociąg plunął pociskami w mury dworca.

Cofałem się, kryłem za ścianami dworca, odskoczyłem dalej w stronę miasta, długą drogą pod wysokimi drzewami, brzegiem kanału. Pociąg zatrzymał się, wrzawa nieco umilkła, wybiegłem na drogę do miasta, usłyszałem za sobą wołanie. Wyłoniła się przede mną Anna Maria.

- Kryj się, smarkulo! - krzyknąłem.

Błądą jej twarz pokrywały sine plamki. Wziąłem ją za dłoń i razem uskoczyliśmy przed świstem kul, wbiegliśmy do miasta, przelatując mostem

kanał, skręciliśmy w prawo i przez rynek cofaliśmy się zupełnie sami. Przystanąłem przed skrzypiącą na wietrze blachą drogowskazu z nazwą Wielkiego Grójca i Chobienic. Ktoś wrzeszczał, że nie ma amunicji, a szrapnele pękały za miastem na tle nieba. Odchodziliśmy w grupkach, pojedynczo i po dwóch, bezradni, rozproszeni...

Zobaczyłem w Chobienicach doktora siedzącego za biurkiem, nie dostrzegłem Anny Marii, ale jej głos jakby błędził po sali. Jasiński spojrzął na mnie.

- Jak tobie się powiodło, synku?

Jasiński był uradowany moim widokiem.

- Uff - odsapnąłem - muszę wpierw doprowadzić siebie i mundur do ładu, było gorąco jak w piekarskim piecu. A gdzie jest Anna Maria? - patrzyłem Jasińskiemu w oczy.

- Gdzie byłeś i coś robił? - Jasiński wymigał się od odpowiedzi.

- Markietanka nic nie mówiła? - byłem zdziwiony jej nieobecnością.

- Przez parę godzin zwożono zabitych i rannych spod Miedzichowa i Babimostu - powiedział suchym głosem - a nasza Anna Maria pełni całą dobę dyżury, wyszczupiała, wypiękniała, ho, ho, istne чудо.

Zmieniłem temat rozdrażniony jego pochlebstwami.

- Gdzie jest Anna Maria? - spytałem natarczywie i zerknąłem na boczne drzwi.

- Lubimy naszą Kleopatę, bez wątpliwości. Królowa egipska była atrakcyjna, tylko gdyby nos jej był krótszy, inne byłoby oblicze świata. Jesteś szczęściarzem, ale pamiętaj, że przypadki zawsze lubią plątać figle. Otóż to...

Zza kotary wyszła Anna Maria, ukryła twarz w dłoniach, szepnęła:

- Nigdy tego nie zapomnę, tyle ludzkiej nędzy i śmierci, to się musi skończyć, wojna budzi we mnie przerażenie, tylko głupcy zabijają ludzi - w oczach miała łzy.

- Anno, nie bądź krucha - Jasiński ja upomniał, ożywił się i począł chodzić po pokoju z kąta w kąt, mówił bardziej do siebie niż do nas:

- Teraz nie wolno wojny obrzydzać, szukamy sprawiedliwości dla siebie, na niewielkim kawałku ziemi krząjemy się przeciw ciemności.

- A co będzie dalej po tych pańskich słowach? - Anna Maria patrzyła z lekko załzawionymi oczyma na Jasińskiego. - Gdzie jest ten wasz front, na niebie, między gwiazdami? No, gdzie - pytała natarczywie.

Poczułem nagle solidarność myśli i odczuć z Anną Marią.

- To fakt, klęski spadły nam na łby, a wszystko wyglądało kiedyś proste, plany i rozkazy, nie brakowało nam pewności, czy jesteśmy z gorszej gliny? - zacisnąłem dłonie w kulak i poczułem mroczący ból na twarzy.

- Umieliśmy się wycofać w Kargowej. Kopanicy, z Babimostu, ale nie mamy Zbąszynia, Miedzichowa i Międzychodu, a przecież w tej wojnie zginęło więcej Niemców niż nas - schyliłem głowę, czułem, że oczy nabiegły mi krwią, wargi trzęsły mi się. - W głębi duszy mamy ciągle zawiłą prawdę o szaleństwie i o mądrości, Zapanowała głucha cisza, dopiero Jasiński jakby się ocknął, powiedział:

- Na zachodzie redagują rozejm, trwają pertraktacje, będzie rozkaz - na ramię broń, kompania śpiewa. Niemcy stawiają warunki bezwzględnej kapitulacji, chcą odebrać nam zdobytą ziemię i broń, ale faktów nikt nie cofnie, nie puszczą nas teraz za Obrę, ale my tutaj jesteśmy wygrani.

Przy kolacji odzyskałem humor. Nocy tej czuwałem, leżąc bezsennie obok Anny Marii i borykałem się z myślami, raz się przejaśniały, to znów odbiegały daleko. Wsłuchiwałem się w cichy szum wiatru, czas mijał, poczułem się sam sobie daleki, obcy i powiedziałem sobie w sercu, ja „jestem żołnierzem, zaszedłem daleko w swoich uczynkach, ale gdy na chwilę zapadałem w sen, majaczyła mi twarz Anny Marii, poruszyła się i przyłgnęła do mnie, rozgrzana, pachnąca, odzyskiwałem spokój, ale gdy wracały natarczywe słowa Krauzego, zdawały się mi one połączane kłamstwem.

Gdy słońce wstało w złotych blaskach nad lasami na wschodzie, w oka mgnieniu znikły wszystkie mroczne cienie nocy. Anna Maria podała mi na śniadanie gorącą herbatę lipową, chleb i jabłko. Oczy jej były lśniące. Umyłem się i ubrałem. Dosiadłem karego i pogałem w ślad za batalionem Krauzego do Grójca Wielkiego.

Odgłos strzałów poleciał daleko i był ostatni tego wieczoru, mgła rozsunała zwiewną zasłonę nad jeziorem, wsłuchiwałem się w ciszę, wydało mi się, że to już koniec wszystkiego. W najbliższej chałupie rybackiej siadłem na ławie, sanitariuszka Izabella nałożyła mi do miski klusek, posypała serem, do

fajansowego garnuszka naląła czarnej kawy. Męczył mnie widok ludzi i męczył mnie widok pogodnej Izabelli, gdyż spoza wszystkich żywych ywarzy wyzierała martwa twarz Krauzego, siedząc przy chropowatym stole mówiłem niby do niego, że nie odejdę stąd daleko, by się sprawiedliwie wypełniła miara jego śmierci.

Anna Maria weszła do kuchni, objęła mnie za szyję.

- Jedz, mój miły. Trzeba dbać o swoje siły - powiedziała ciepło, roznosiła po izbie zapach lekarstw, chwyciłem ze stołu szklanę, odchyliłem głowę w tył i wypilem samogon jednym haustem, wziąłem do ręki widelec i jadłem, spojrzełem na Annę Marię i pokiwałem głową, usiadła przy mnie.

Rzekła półgłosem:

- Krauze tam został.
- Pójdę z patrolem tam, możesz tu zostać i poczekać na mnie. On leży tam, muszę iść po niego, bo jak nadejdzie odwilż, powódź, woda zaciągnie go na dno.
- Wiem, ale jednak.
- Nie mówmy o tym.
- Sam jeden nic nie zrobisz.
- Chłopcy będą mnie ubezpieczać.
- Niemcy nie pozwolą zabrać Krauzego.
- To będzie ich straszyć po nocach - uśmiechnąłem się - wracaj do rannych.
- Nic - stanęła w progu i utkwiała wzrok w jeziorze, przez dłuższy czas spoglądała na wysepkę, czarny punkt oświetlony był nikło wschodzącym słońcem. Nie warto było czekać do wieczora na zmrok, Niemcy mogą nas uprzedzić, to może być dla nich nie lada gratką, pokazać kogo mają, potem wrzuci go do pierwszego z brzegu dołu, zakopią i żegnaj bracie, ślad zginie...

Mann ponaglał żołnierzy:

Naprzód, naprzód, tylko kontratakiem ich zatrzymamy. Pociągnął nas w ogrody, leżące między drogą na wschód i na północ, w tym prostokącie, na prawym i lewym skrzydle siły niemieckie wydały się być największe. Przewalił się nad nami ogień cekaemu. usłyszałem chrapliwie jęki, potknąłem się, chwyciłem za łokieć najbliższego żołnierza, ale ten jakby wyrwał się mi,

klęknął i padł twarzą na śnieg, drugi osunął się obok pokornie i położył na ziemi. Z jednej i drugiej strony były gęste serie kul, zatrzymałem na miejscu żołnierzy, by nie zostali odcięci od wsi, bez możliwości odwrotu, legli za drzewami, plotami, skibami ziemi. Porucznik rozkazał:

- Rozciągnąć się na boki, nie możemy tych psów puścić ani o krok dalej, to ich wymęczy, jeszcze minutę, chłopcy. W oczy uderzył mnie błysk słońca, które przyjmowało gdzieś wysoko wszystkie gromy pochodzące z ziemi.

- No, teraz możemy się cofać, mamy ich na otwartych polach. Usiłowałem skryć się w przydrożnym rowie. wtedy zobaczyłem Manna, jak szarpnęło go w lewe ramię, druga kula uderzyła go w prawą rękę, krew ciekła z rękawów, obezwładniony wypuści rewolwer i legł na ziemi. Po błękanie zenitu pociski wyły zajadle, ryły grudą. wzbijały obłoki śniegu, szarpały rannych i zabitych. Poczłgałem się do porucznika, dłonie miał całe we krwi, twarz mu stygła, schyliłem się nad nim i słuchałem uważnie jego szeptu.

- Niemcy osłabli, nie cofajcie się za most, męczyć ich, nie uciekać, to uratujecie przyczółek. Gdzie jest samochód pancerny? - osłabł mu głos.

- Na moście - odparłem.

Stamtąd akurat odezwał się terkot karabinu maszynowego i grał przeciągle, utrzymując Niemców w bezruchu. W czterech nieśliśmy porucznika Manna środkiem Nowej Wsi Zbąskiej wśród rozwalonych domów, zmasakrowanych drzew, skrawków ścian i resztek płotów.

- Daleko jeszcze? - szepnął słabo.

- Idziemy po moście - rzekłem.

- Połóżcie mnie tu, proszę, no połóżcie... - rozkazał. Ułożyliśmy owiniętego w koc na moście, słońce szło promieniami po oszronionych deskach i belkach, po jeziorach, przeprawiało się ponad lasami i przez rzekę na zachodni brzeg.

- Nie mam nic do... - urwał. Klęknąłem i pochyliłem głowę, żołnierze po obu stronach Obry stali nieruchomo, wierzchołki sosen tkwiły w smudze czerwieni, nad ziemią robiło się szaro i mroźno. Ciało Manna ułożyliśmy w samochodzie pancernym. Potem brzegiem jeziora brnąłem w kierunku leśniczówki, przez nic nie znaczące wyrwy ziemi pomieszanej z gałęziami zwalonych wierzb. Zobaczyłem sylwetkę Anny Marii, stała w cieniu drzew, Przyspieszyłem kroku, patrzałem pod nogi, by nie potknąć się o chaszczę, na mrozie skrzypiały ciężkie buty, widziałem swój cień przed sobą i znowu Annę

Marię niedaleko już. Nagle grad kul chlusnął w jej stronę spoza jeziora, nad głową zawisła złota gwiazda nadziei świetlnej rakiety, śledziłem drgnienia ruchomego światełka, które bladło i gasło. W ciszy zerwałem się, przebiegłem kilkanaście kroków naprzód, wpadłem do leja po artyleryjskim pocisku, poczułem się przygwożdżony do ziemi, pociski niemieckiego kulomiotu rozbijały resztki spalonej stodoły, dudniły o wyrwane z ziemi kamienie, słyszałem wyraźnie, jak macały każdy skrawek ziemi wokół mnie, skurczony przymykałem oczy, nie oczekiwałem ratunku, nikt nie mógł wiedzieć, gdzie się zawieruszyłem, siedziałem w dołku widocznym zza jeziora, a tam na wysokim brzegu byli Niemcy. Na moście zobaczyłem wóz pancerny z białoczerwonymi pasami, dygotał ostrzeliwując pozycje nieprzyjaciela akurat po przeciwnej stronie, na północnych krawędziach wsi. W jednej sekundzie uniosłem głowę, zwróciłem oczy w stronę kępki drzew i wypatrywałem Anny Marii, śnieg topniał przy moim policzku, cucił mnie, jakby mówił, że mam biec do niej najkrótszą drogą, ona leżała w martwym polu blisko brzegu jeziora, daleko od mostu.

Nad całą okolicą rozpostarła się mglista cisza, dojrzałem przez gałęzie czterech Niemców, śledziłem ich, po chwili lekko uniosłem się, klęknąłem na lewe kolano, raptownie wstałem i strzeliłem do nich. Dobiegłem do Anny Marii. Nic nie drgało na jej twarzy, miała w rozwartych, bladych oczach wyraz pewności, że wygrała. Leżała w płytkim dole po pocisku artyleryjskim, świetlistym, daleko od leśniczówki, w łagodnym śnie, bardzo blada.

Miała nad sobą zimowe, złote gwiazdy, na czole - krew...

Gerard Górnicki